



PRACA nad sobą

A PERIODYK
Zeszyt 69

MARIA WICKI
Kraków, luty 2013 r.

Moje przeżycia

Nasz czytelnik, diakon jednego z bratnich wyznań chrześcijańskich nadesłał nam swoje ciekawe przeżycia i rozważania na ich tle. Chyba warto je wziąć pod uwagę we własnej pracy nad sobą.

Czasami coś nieoczekiwane staje się naszym błogostawieństwem nie dlatego że na nie zastugujemy ale, że potrafimy wytrwać w świadomości naszej niegodności. Na dwa tygodnie przed Bożym Ciałem 2003 roku wiedząc, że będę w Dallas na weselu córki naszej znajomej zadzwoniłem do polskiej parafii do mojego byłego proboszcza, aby powiedzieć mu, że będę na mszy w niedzielę. Ucieszył się, że będzie miał diakona, byłego parafianina do pomocy i choć nic mi nie powiedział to wiedziałem, że będzie oczekiwał, że powiem kazanie. Przygotowując się do kazania rozmyślałem nad Ciałem Chrystusa. Moja wiedza teologiczna była i jest nadal ograniczona. Diakoni nie otrzymują tak dokładnego wykształcenia jak księża. W nocy we śnie pojawił mi się anioł. Skinął na mnie ręka i spojrzawszy w górę ujrzałem Chrystusa patrzącego na ziemię poniżej, a z Jego boku, rąk, stóp i głowy wyływały promienie okalające ziemię. „Dlaczego Stygmaty” zapytał mnie anioł, „Pomyśl o tym i znów cię zapytam.”

Obudziłem się i poszedłszy do kuchni usiadłem przy stole i włączywszy komputer zacząłem czytać o stygmatach. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że pierwsze stygmaty otrzymał święty Franciszek z Asyżu na początku 13-go wieku. W piątek tego samego tygodnia we śnie znów ukazał mi się ten sam anioł. Czulem w sercu ogromny smutek, bo nie miałem dla niego odpowiedzi. Uśmiechnął się i powiedział: „myśl o naturze ludzkiej”. Posmutniałem jeszcze bardziej bo nic z tego nie rozumiałem. „Natura ludzka jest zbiorem wszystkich ludzkich doświadczeń” powiedział. Natychmiast się obudziłem w radosnym uniesieniu. Stało się dla mnie jasnym, że musi minąć wiele lat, wiele godzin spędzonych na poznawaniu Pisma Świętego, na medytacjach, aby wreszcie Prawda Pasji Chrystusa zaowocowała w ciele fizycznym. Jasnym się dla mnie stało, że nasze postępowanie, nasze myśli i czyny mają wpływ nie tylko na nasza osobowość, lecz na nasze całe człowieczeństwo.

Kilka dni po powrocie z Dallas do Houston ten sam anioł ponownie ukazał mi się we śnie i zapytał: „kto się narodził bez grzechu pierworodnego?” Adam i Ewa, Maria i Jezus - było moją odpowiedzią. „A jakie to ma znaczenie?” zapytał ponownie anioł.

Lata miały a ja ciągle nie miałem odpowiedzi na jego pytanie. Wreszcie w 2008 roku przygotowując kazanie na święto Chrztu Pańskiego jak zwykle przeczytałem czytania na ten dzień i położyłem się spać, aby pozwolić Duchowi Świętemu podpowiedzieć mi o czym mam mówić. We śnie ukazał mi się ten sam anioł. Nic nie mówił i tylko uśmiechał się do mnie. Wiedziałem, że doskonale odczuwa mój ogromny smutek, bo przecież pomimo moich niezdatnych wysiłków nie miałem dla niego odpowiedzi. Uśmiechnął się do mnie łagodnie i powiedział jedno słowo po angielsku: „Creation” czyli stworzenie.

Natychmiast się obudziłem w radosnym uniesieniu i ze łzami radości. Jego słowo wymówione do mnie implodowało tysiącem obrazów w mojej duszy. Jeszcze dzisiaj gdy wspominam te chwile czuję radość nie do opisania. Zrozumiałem, że Bóg który stwarza doskonałość, dokonał stworzenia człowieka w Adamie i Ewie, lecz splamiona grzechem pierworodnym natura ludzka powstrzymywała większość ludzi przed zbawieniem. Nawet jedyna rodzina Noego zachowana z oczyszczającego potopu nie przyniosła odbudowanej ludzkości zbawiającej odnowy. Dlatego to Bóg dokonał ponownego stworzenia, stworzenia nowej natury ludzkiej: Mistycznego Ciała Chrystusa. Zapowiedział to przecież Izajasz (43:18-19,25). Jezus sam

mówi o konieczności stworzenia nowej natury ludzkiej (Marek 2:21-22). Dlatego zesłanie Ducha Świętego opisane przez Świętego Jana (20:22) jest tak podobnym do opisu stworzenia człowieka z Księgi Rodzaju.

Pismo Święte stanęło przede mną otworem. Szczególnie listy Świętego Pawła. Długo się zastanawiałem nad podzieleniem się moim doświadczeniem z innymi. Napisałem wreszcie list do mojego biskupa - jak na razie bez odpowiedzi. Jestem tylko mizernym, niedouczonego diakonem. W swej mizerności zebrał się w końcu na odwagę aby o tym mówić, nie potrafię tego co doświadczyłem opracować i godnie przekazać. Mój spowiednik, kiedy nieśmiało o tym wspomniałem powiedział, że muszę pracować, książkę na ten temat napisać, przestrzegając mnie abym o tym, w jaki sposób otrzymałem tę wiedzę, nie pisał, bo może to przerazić rozsądnych ludzi. Zamieszczenie tego listu w „Pracy nad sobą” wydaje mi się rozsądnym „pierwszym krokiem”. Wydaje mi się, że bogactwo tego objawienia - wybaczenie użycie tego słowa, ale nie mogę znaleźć lepszego, jako że po polsku rzadko piszę - powinno stać się szeroko znanym, aby w pełni sobie uświadomić powagę pozostawiania w stanie łaski, pozostawiania częścią Mistycznego Ciała Chrystusa. W Nim jest pełnia zbawienia i jedyna droga do Boga Ojca. Przez tysiące lat ludzkość płynęła jak wody Jordanu z Morza Galilejskiego do Morza Martwego, dopóki Jezus nie wstąpił w te wody podczas chrztu, aby poprowadzić nas na drugą stronę do Nowego Jeruzalem. Do mnie należy wybór: czy zaufam Bogu i przez sakrament spowiedzi i Eucharystię pozostanę częścią Jego Ciała, czy też o własnych siłach błędzić będę po pustyni Synaj w poszukiwaniu Stwórcy, albo też i całkowicie się do Niego plecami odwrócić.

Nadchodzi czas, kiedy wierzący w Chrystusa zaczną się wprawdzie bardzo subtelnie, a potem znacząco różnić fizycznie od reszty ludzkości. Stygmat jest pierwszym przejawem obecności Nowej Natury Ludzkiej i tak, jak Słowo Boże przez świętych nam przekazywane, jak liczne cuda Eucharystyczne, działanie Eucharystii w naszych duszach, jest drogą do wiary. Czy wybierzemy wierność Matce Bożej i Owocnym Cierpieniom Chrystusa, czy będziemy „równi Bogu” sięgając po owoc zakazany wraz z Adamem i Ewą? Wybór należy do nas.

Antoni Siemowit



Z przedstawionych nam problemów

UWIELBIONE CIAŁO ZMARTWYCHWSTANIA

Dr Tomasz Kwast pisząc o tym, że nie wierzy w zmartwychwstanie Chrystusa („Praca nas sobą” zeszyt 68 s.9) ma na myśli zmartwychwstanie w ciele zwanym popularnie fizycznym. Zgodzi się z nim większość chrześcijan. Ja też w takie zmartwychwstanie nie wierzę. Tak pojęte ciało jest bowiem uporządkowanym zespołem najrozmaitszych substancji chemicznych, które się stale w nas wymieniają. Z każdym cyklem trawiennym przyswajam memu tak pojętemu ciału nowe substancje, a wydałam zużyte. Z każdym oddechem pozbywam się części swojej zużytej już materii, a wdycham tlen i inne gazy potrzebne do odnowienia budowy. Gdy śpię, trwa proces oddychania. Rano budzę się w innym zestawie materii niż zasypiałem. Nie trzeba więc śmierci, abym bezpowrotnie utracił materię ciała. Można to wyrazić skrótem: nie istnieje nie tylko zmartwychwstanie, ale również nie istnieje „zesnuwstanie” w tym samym ciele pojętym jako zestaw materii.

Ucząc się biologii dowadywałem się, że po siedmiu latach życia wymienia się w nas większość komórek, zaś w niewielkiej ilości komórek towarzyszących nam przez całe życie wymieniają się wszystkie atomy. Nawet jeśli pozostaje rzeczą dyskusyjną, czy w szczególnych ludzkich narządach (na przykład kościach) jakieś tam wyjątkowe atomy nie trwają od poczęcia po śmierć, musimy uznać, że po każdym siedmiu latach „przywdziewamy” nowe ciało. Wiedza duchowa woli tak pojęte ciało nie nazywać ciałem

fizycznym, ale ciałem chemicznym. Proszę pozwolić - dla jasności dalszej treści używać mi tutaj tego terminu.

Ale istnieje w nas coś, co wprawdzie też się zmienia, ale wolno i nie całkiem. Całe życie trwamy w pewnym charakterystycznym kształcie. Nie tylko po siedmiu, ale i po kilkudziesięciu latach rozpoznają nas po tym kształcie znajomi. A chyba każdemu z nas zdarzyło się w ten sposób rozpoznać w dorosłej osobie kolegę z pierwszej klasy podstawówki. Ten właśnie kształt będziemy nazywać ciałem fizycznym. Genetycy zajmują się jego związkiem z naszym układem genów, niektórzy psychologowie badają jak na zewnętrzny układ rysów ciała fizycznego (na przykład wyglądu twarzy) wpływa moralność. Takimi i podobnymi problemami szczegółowymi nie będę się tu zajmował. Niektórzy informatycy formułują pogląd, że ciało fizyczne jest pewnym programem - podobnie jak programy komputerowe - nie będącym tworem materialnym, lecz ideą dającą się oczywiście zapisać również środkami materialnymi. Niektórzy też używają terminu „fantom” dla określenia ciała fizycznego w odróżnieniu od chemicznego. Ale chyba ten termin przychodzi na myśl nie całkiem właściwe skojarzenia.

Dla nas ważne jest to, że tak określone trwałe ciało fizyczne nadaje określony układ stale się zmieniającemu ciału chemicznemu. Dla kompletności wykładu dodam, że wiedza duchowa zalicza do ciał również zespół sił nadających materii życie i nazywa je ciałem życiowym (niektórzy ojcowie Kościoła nazywali je duszą wegetatywną), oraz układ „czujników” umożliwiających odczucie tego, co się dzieje z innymi ciałami, który nosi często nazwę ciała czuciowego (u niektórych ojców: dusza zwierzęca). Tak więc całością ludzkiego ciała jest zespół czterech warstw, czy członów: ciało chemiczne, fizyczne, życiowe i czuciowe. W tym zestawie czterech ciał „mieszka” człowiek tu na ziemi. Fizycznymi zmysłami postrzegamy nasze ciała chemiczne, a na tej podstawie myślowo budujemy obraz ciał fizycznych - innych ludzi i swojego.

Ciało fizyczne jest postrzegalne fizycznym zmysłom tylko dzięki temu, że je wypełnia ciało chemiczne. Ciało fizyczne podlega wprawdzie rozwojowi, potem starzeniu. Tu czynne są siły członów wyższych, na które prawie nie mamy wpływu. Jednak w pewnym zakresie ciało fizyczne pozwala się i nam samym kształtować przez substancje materialne, które do niego świadomie dopuszczamy, lub nie dopuszczamy. Mamy pewien ograniczony i bardzo wolno działający wpływ na to, czy jesteśmy szczupli czy otyli, czy nasze narządy działają prawidłowo, czy są zatrutowane alkoholem i innymi używkami, czy nie. Marzeniem niejednego człowieka byłaby pełna władza nad wypełnianiem zarysów ciała fizycznego materią. Na przykład przed wysokim skokiem pozbywałbym się zbędnej masy, a pozostawiałbym sobie materialność mięśni. Kiedy bym się chciał dać rozpoznawać, wypełniałbym ciało fizyczne materią. Ale mógłbym się pozbyć wszelkiej chemicznej materii i przez to stać się niewidocznym.

Nasz Korespondent pisze wyraźnie, że nie chce być nawracany, ale chce się dowiedzieć, co my możemy powiedzieć o problemach, jakie przedstawił. Otóż skoro mowa o zmartwychwstaniu, to sądzimy, że jest ono możliwe w ciele fizycznym. Nie nawracamy naszego Drogiego Korespondenta, a więc nie nastajemy aby wierzył słowom Pisma Świętego, że za czasów Noego pojawiły się ogromne fale tsunami opływające przez dłuższy czas wysokie góry, ani że za czasów Jozuego spadały z nieba kamienie, których nikt nie podrzucił w górę. My to natomiast przyjmujemy jako rzeczywiste fakty. Wierzymy również Biblii, gdy twierdzi, że Jezus Chrystus zmartwychwstawszy otrzymał ciało fizyczne. Takie właśnie wymarzone, w pełni podległe woli posiadacza, które teolodzy nazywają ciałem uwielbionym.

Przyznam się też, że wierzę słowom Pisma Świętego o przyszłym powszechnym zmartwychwstaniu naszych ciał fizycznych i że jeśli ktoś z nas postara się teraz żyć właściwie, to jego zmartwychwstałe ciało będzie podobne do uwielbionego Ciała Chrystusa. *St.F*



Poznajmy bratnie wyznania

ANGLIKANIZM

W związku z udziałem członków naszego Zgromadzenia w projekcie *Przybliżamy Kościół Episkopalny w Polsce* zostałem, jako anglikanin i jeden z inicjatorów tego projektu, poproszony o napisanie tekstu przybliżającego tę - w Polsce wciąż mało znaną - postać chrześcijaństwa czytelnikom „Pracy nad Sobą”. Przystąpiłem na to z ochotą, aczkolwiek pisać o anglikanizmie nie jest łatwo. Nawet wybitni specjaliści z zakresu wiedzy konfesyjnej często nie najlepiej radzą sobie z opisem anglikańskiego fenomenu i zatrzymują się na poziomie banalnych określeń typu "katolicko-protestancka synteza", nie docierając do istoty sprawy. Przyczynia się do tego bez wątpienia to, że anglikanizm, podobnie zresztą jak prawosławie, ale już zupełnie inaczej aniżeli klasyczne wyznania protestanckie, swoją specyfikę i tożsamość w o wiele większym stopniu wywodzi i opiera na wydarzeniu liturgicznym, aniżeli na księgach konfesyjnych czy traktatach teologicznych. O ile na pytanie "czym jest luteranizm?" można zareagować odsyłając pytającego do lektury tak zwanych "ksiąg symbolicznych", zawierających opis luteranckiej doktryny, o tyle w przypadku anglikanizmu jedyną naprawdę adekwatną odpowiedź musiałaby brzmieć: "przyjdź na nasze nabożeństwo i oddaj wraz z nami cześć i chwałę Bogu!". Anglikańska teologia powstawała i powstaje w rytm bicia kościelnych dzwonów. Świadomość tego skłania do pokory. Pisząc te słowa nie żywię iluzji, że uda mi się oddać specyficzny "smak" anglikańskiej formy chrześcijaństwa. Może to być co najwyżej wprowadzenie, a przede wszystkim zaproszenie dla czytelnika, by - o ile to możliwe - rzeczywiście wybrał się na

anglikańskie/episkopalne nabożeństwo i wraz z nami oddał Bogu cześć i chwałę "w pięknie świętości" (Ps. 28[29]).

Nazwy

Zamieszanie z anglikanizmem rozpoczyna się już na poziomie nazewnictwa. Słyszemy o *Kościele Anglii*, *Kościele Anglikańskim*, *Kościele Episkopalnym*. Jak się w tym nazewniczym labiryncie potapać?

Kościół Anglii można nazwać "Kościołem-matką" wszystkich Kościołów anglikańskich. To stąd wywodzą one swoją sukcesję apostolską, to on stanowi historyczny łącznik pomiędzy nimi a Kościołem Powszechnym pierwszych wieków. Dlatego podtrzymywanie wspólnoty z tronem arcybiskupim świętego Augustyna z Canterbury jest jednym z najistotniejszych wyznaczników anglikańskiej tożsamości, choć od razu trzeba dodać, że prymat, jaki sprawuje arcybiskup Canterbury, ma wyłącznie charakter honorowy. Jest on pierwszym wśród równych sobie biskupów (*primus inter pares*) i nie ma nad nimi żadnej władzy. Ani on sam ani Kościół Anglii, któremu - wraz z arcybiskupem Yorku - przewodzi, nie może niczego narzucić innym Kościołom anglikańskim. Nazwa "*Kościół Anglii*" (*Ecclesia anglicana*) weszła w użycie we wczesnym średniowieczu i oznaczała wówczas po prostu lokalny angielski Kościół Katolicki, podlegający arcybiskupowi Canterbury jako "prymasowi całej Anglii" i arcybiskupowi Yorku jako "prymasowi Anglii". W latach 1532-34 Kościół ten, na mocy uchwalanych kolejno aktów prawnych, których uwieńczeniem był tak zwany *Akt Supremacji* z 1534 roku, odrzucił zwierzchność papieską.

W miarę jak się rozrastało Imperium Brytyjskie, Kościół prowadził działalność misyjną. Wspólnoty powstałe w jej wyniku początkowo podlegały zwierzchności angielskich biskupów. Uległo to zmianie dopiero w XVIII wieku. 4 lipca 1776 uchwalono *Deklarację Niepodległości* byłych kolonii brytyjskich w Ameryce Północnej. Data ta stanowi symboliczny początek historii niepodległych Stanów Zjednoczonych. Dla członków Kościoła Anglii żyjących na tych terenach powstał w ten sposób ogromny problem. Dotychczas nie tylko w sensie prawnopolitycznym, ale również religijno-kościelnym, podlegali oni brytyjskiemu monarsze, który na mocy Aktu Supremacji zarządzał Kościołem. To on naznaczał też biskupów sprawujących posługę w Kościele. Angielscy biskupi byli skłonni

wyświęcić dla Amerykanów, których uważali wciąż za brytyjskich poddanych, własnego biskupa, ale musiałby on złożyć przysięgę na wierność monarsze. Z oczywistych względów politycznych po jej złożeniu nie miałby już jednak po co wracać do Stanów. Stało się zatem jasne, że Amerykanie potrzebują niezależnej zwierzchności kościelnej. Wybrać biskupa nie stanowiło tak wielkiego problemu, ale uzyskać dlań święcenia - bez konieczności składania przysięgi, która uczyniłaby z niego zdrajcę stanu - już tak. W sukurs Amerykanom przyszli Szkoci. Na terenie Szkocji istniała bowiem wspólnota kościelna, której biskupi nie podlegali królowi Anglii lecz uznawali zwierzchność odsuniętej od władzy dynastii Stuartów. Nazywano ją *Kościółem Episkopalnym* - to znaczy kierowanym przez episkopat (biskupów), dla odróżnienia od kalwinistycznego Kościoła Szkocji, którym zarządzali starsi zborów. Szkoccy biskupi wyświęcili 14 listopada 1784 roku w Aberdeen na biskupa Amerykanina, księdza Samuela Seabury'ego. Tę datę uznaje się za datę powstania Kościoła Episkopalnego w Stanach Zjednoczonych, pierwszego z samodzielnych (autokefalicznych) Kościołów anglikańskich, powiązanych duchowo z Kościołem Anglii, ale niezależnych od niego administracyjnie.

Nazwa "*anglikański*" ma natomiast stosunkowo krótki rodowód. Weszła w użycie dopiero w XIX wieku i stopniowo stała się określeniem całej rodziny wyznaniowej. Anglikański jest zarówno Kościół Anglii jak Episkopalny Kościół Szkocji czy Kościół Episkopalny w Stanach Zjednoczonych oraz każdy z 35 innych Kościołów, które tworzą *Wspólnotę Anglikańską*. Dlatego nie należy jej utożsamiać jedynie z Kościołem Anglii. W zasadzie w ogóle lepiej nie używać jej w liczbie pojedynczej, bowiem nie ma jednego Kościoła anglikańskiego lecz 38 samodzielnych Kościołów anglikańskich o różnych oficjalnych nazwach.

“Z powodu rozwodu”?

Jedna z najbardziej rozpowszechnionych fałszywych opinii na temat genezy anglikanizmu głosi, że “Henryk VIII założył własny Kościół, ponieważ chciał wziąć rozwód”. Jednak historia Kościoła Anglii sięga o wiele dalej, aniżeli czasy Henryka VIII. “*To oczywiście nie Henryk VIII założył Kościół Anglii,*” - pisze w znakomitym wprowadzeniu do anglikanizmu pod tytułem *Always*

Open. Being an Anglican Today książdż kanonik Richard Giles, kapłan episkopalny, wykładowca w *Kolegium Świętego Jana Uniwersytetu w Durham* - *“lecz nieznany misjonarz, który przyłynął swoją łodzią do angielskich brzegów, aby się podzielić Dobrą Nowiną Jezusa z Nazaretu z bojowymi mieszkańcami tej dzikiej i wilgotnej wyspy. Być może jeszcze prawdopodobniej był to nieznany rzymski żołnierz, wychłostany przez kolegów za swe przywiązanie do galilejskiego bojownika o wolność, zamordowanego w imieniu imperatora dwieście lat wcześniej. Nikt nie wie dokładnie kiedy ani jaką drogą Dobra Nowina dotarła do Anglii, ale datę śmierci pierwszego brytyjskiego męczennika, świętego Albana, ustalono na rok 209. Z pewnością wiemy, że angielscy biskupi byli obecni na obradach synodu w Arles w 314 roku(...)”*. W 597 r. św. Augustyn wybudował w Canterbury kościół, co dało początek diecezji (obecnie archidiecezji) kantuaryjskiej. Nominowany niewiele dni temu na 105. arcybiskupa Canterbury biskup Justin Welby jest w prostej linii jego następcą. Przy okazji warto dodać jeszcze jedno. Niespełna sto lat po budowie kościoła w Canterbury brytyjski mnich Willibrord wyruszył w kierunku stałego lądu, aby głosić Ewangelię wśród Fryzyczyków. Wylądował zaledwie kilkanaście kilometrów od miejsca, w którym piszę te słowa, u ujścia Renu w pobliżu miejsca, gdzie obecnie leży wieś Katwijk. W 695 roku papież wyświęcił go na biskupa. Willibrord na swoją stolicę wybrał Utrecht. W ten sposób został pierwszym zwierzchnikiem Kościoła Utrechtu. Jeden z jego następców, arcybiskup Gerard Gul (1847-1920) 5. października 1909 roku udzielił sakry biskupiej polskiemu kapłanowi M. Michałowi Kowalskiemu, pierwszemu zwierzchnikowi Kościoła Mariawitów...

Względy wyznaniowe często określają również nasze spojrzenie na historię. Samo w sobie nie musi być to niczym złym, jeżeli tylko zdajemy sobie z tego sprawę. Charakterystyczną cechą, która łączy (a w każdym razie powinna łączyć) ze sobą anglikanów, starokatolików a także chrześcijan prawostawnych, jest spojrzenie z perspektywy Kościoła lokalnego. Nie oznacza ono, że nie ogarniamy wzrokiem szerszych dziedzin, ale lokalna wspólnota kościelna stanowi dla nas punkt wyjścia, podczas gdy dla rzymskiego katolika takim punktem wyjścia pozostaje, zarządzany z Rzymu, Kościół uniwersalny, wobec którego wspólnoty lokalne mogą być jedynie *“Kościółami partykularnymi”* (to znaczy częstkowymi). W naszym rozumieniu, sięgającym korzeniami świętego Ignacego Antiocheńskiego

(I/II wiek po Chrystusie) lokalna wspólnota sakramentalna skupiona wokół swego biskupa - przewodniczącego sprawowaniu Eucharystii - jest w pełnym znaczeniu tego słowa Kościołem katolickim (a nie jego częścią!), aczkolwiek realizuje tę katolickość zawsze w łączności z innymi Kościołami lokalnymi. Dlatego również w odniesieniu do historii, w odróżnieniu od centralistyczno-uniwersalistycznej wizji rzymskiej, w centrum naszej uwagi powinien się znajdować miejscowy Kościół katolicki, przechodzący różne koleje dziejowe, ale trwający w wierności Dobrej Nowinie, głoszonej wciąż na nowo w zmieniającym się kontekście kulturowym. Gdy spoglądamy z tej perspektywy, staje się jasne, że kompletnym bezsensiem jest mówić, iż "Henryk VIII założył Kościół". Ten Kościół trwa nieprzerwanie od momentu, gdy pierwsi chrześcijanie postawili stopę na Wyspach Brytyjskich aż po dzień dzisiejszy. W toku swej historii dał początek wielu innym Kościołom lokalnym, które następnie podążały własnymi drogami, gubiły się z oczu i ponownie odnajdywały. Nie zmienia to jednak faktu, że reformacja XVI wieku była dla niego okresem przełomowym. Dlatego musimy poświęcić jej nieco więcej uwagi.

Angielska reformacja bez wątpienia łączy się z osobą króla Henryka VIII (1491-1547), typowego renesansowego władcy, łączącego szeroką skalę talentów z niesamowitą żądzą władzy i sporą dozą okrucieństwa. Henryk, wychowany w atmosferze humanizmu, doskonale zdawał sobie sprawę ze słabości Kościoła swojej epoki i konieczności jego zreformowania. Jednakże wieści dochodzące z kontynentu, a zwłaszcza z niemieckiej Wittenbergi, nie wzbudzały jego entuzjazmu. W roku 1521 podjął nawet polemikę z Lutrem w obronie siedmiu sakramentów, za co papież obdarzył go tytułem *Obrońcy wiary (Fidei defensor)*, z dumą noszonym przez jego następców po dzień dzisiejszy. Henryk już kilka tygodni po objęciu tronu poślubił wdowę po swoim bracie, Katarzynę Aragońską. Przyczynę małżeństwa stanowiły względy polityczne. Królowa była Habsburżanką, a Habsburgowie próbowali za pośrednictwem tego małżeństwa wciągnąć Anglię do swojej strefy wpływów. Dlatego na niewiele zdały się wątpliwości co do ważności tego małżeństwa wysuwane przez ówczesnego papieża, Juliusza II. Papież został zmuszony, by wbrew prawu kanonicznemu, które zakazywało poślubienia wdowy po rodzonej bracie, zezwolić na nie. Oczywiście powodzenie tej politycznej gry zależało od tego czy królowa urodzi

swemu mężowi męskiego potomka, jednakże jedyny syn Katarzyny i Henryka przeżył tylko niespełna dwa miesiące. Królowa zachodziła w ciążę co najmniej sześciokrotnie, ale jedynie córka, Maria, osiągnęła wiek dorosły. W tej sytuacji Henryk rozpoczął starania o unieważnienie małżeństwa. Biorąc pod uwagę fakt, że od początku wzbudzało ono w Rzymie wątpliwości, wydawało się początkowo, iż nie sprawi to większych problemów. Papiestwo było jednak całkowicie uzależnione politycznie od Habsburgów, a ci nie mieli zamiaru porzucić swoich planów podporządkowania sobie Anglii. Papież Klemens VII nie przystał więc na prośbę króla. W tym momencie na dworze anielskim zyskują na znaczeniu dwie osoby: kanclerz Tomasz Cromwell (1485-1540) oraz teolog i dyplomata Tomasz Cranmer (1489-1556). Pierwszy był prawnikiem i politykiem. Jako - zapatrzonemu we wzorce antyczne - humaniście i zwolennikowi wzmocnienia władzy królewskiej przyświecał mu zupełnie inny ideał stosunków państwo - Kościół, aniżeli ten, któremu hołdowano w Rzymie. W o wiele większym stopniu przypominał on wzorzec bizantyjski, w którym cesarz zarządzał Kościołem w sensie administracyjno-prawnym, zaś zwierzchność duchowa spoczywała w ręku patriarchy (w warunkach angielskich oznaczało to odpowiednio: króla i arcybiskupa Canterbury). Z kolei Cranmer od dłuższego czasu z zainteresowaniem obserwował postępy reformacji na kontynencie, studiował pisma Lutra oraz innych reformatorów i - w odróżnieniu od samego Henryka - w coraz większym stopniu hołdował ich ideałom. Gdy król się ostatecznie przekonał, że jego małżeństwo przez Rzym anulowane nie zostanie, jedyną drogą wyjścia z sytuacji dostrzegł w przyjęciu wizji obydwu Tomaszów. Najpierw mianował Cranmera na stanowisko arcybiskupa Canterbury, a następnie ogłosił się głową Kościoła Anglii, zaś administrowanie nim powierzył Cromwellowi. Schizma między Canterbury i Rzymem stała się faktem: Kościół Anglii zerwał więzi jurysdykcyjne wiążące go dotąd z biskupem Rzymu. Przeciwnicy tego kroku, jak wybitny humanista i polityk Tomasz Morus, zapłacili za swój sprzeciw głową.

To wszystko jawi się jako zimna gra politycznych sił, w której próżno szukać jakichkolwiek racji religijnych. W dużym stopniu tak właśnie było - i to po każdej stronie konfliktu, gdyż również papież nie stał bynajmniej przede wszystkim na straży świętości i nierozzerwalności małżeństwa, lecz po prostu realizował politykę Habsburgów, od których był całkowicie uzależniony.

Jednakże cała sprawa ma też inny wymiar. Profesor Daniel Joslyn-Siemiatkoski, historyk Kościoła z Berkeley, stwierdza w referacie zatytułowanym *Anglikanizm i Kościół Episkopalny, historia i współczesność* wygłoszonym w marcu ubiegłego roku w Krakowie:

„Chociaż pragnienie króla Henryka VIII, aby rozwieść się z Katarzyną Aragońską i poślubić Annę Boleyn odgrywało rolę przy odłączeniu Anglii od Kościoła Rzymu, nie było jednak jedynym czynnikiem. Musimy pamiętać o dwóch innych. Po pierwsze, Henryk był bardzo pobożnym królem, który widział siebie samego jako Bożego pomazańca mającego władać Anglią. Wydaje się, że szczerze pragnął zreformować Kościół w zgodzie ze swoim humanistycznym wykształceniem. Po wtóre, Anglia była od dawna uwikłana w dyskusję z papieżem na temat zakresu jego władzy na swoim terenie, szczególnie w odniesieniu do prawa ściągania podatków kościelnych”. Jak widać pobożność i troska o Kościół nie tylko nie wykluczają udziału w brudnych politycznych grach, ale często nawet wprost do niego prowadzą. Na przestrzeni wieków tak właśnie rozumowali nie tylko politycy i władcy, ale również biskupi, na czele z papieżem... Jedno natomiast bez wątpienia uległo zmianie. Wybór *Anglican way* - anglikańskiej formy chrześcijaństwa - nie jest już równoznaczny z zajęciem stanowiska w tym konflikcie racji politycznych, który w XVI stuleciu stanowił jedną z wiodących przyczyn uwolnienia się Kościoła Anglii od rzymskich roszczeń jurysdykcyjnych. Wielu anglikanów nie odczuwa szczególnej sympatii do postawy Henryka VIII ani potrzeby usprawiedliwiania jego posunięć, zaś Kościoły anglikańskie upamiętniają w swoich kalendarzach liturgicznych zarówno tych, którzy stracili życie dla sprawy reformacji jak i tych, którzy życiem przytłaczyli sprzeciw wobec woli króla. Wyznacznikiem anglikańskiej tożsamości nie jest przekonanie, że “Henryk miał rację”, ale że lokalny Kościół miał wówczas i ma nadal prawo uważać się nie za “Kościół partykularny” - we wszystkim zależny od polityki, którą w danym momencie prowadzi Rzym - lecz za katolicką wspólnotę, która może wybrać własną drogę rozwoju.

brat Izaak

W następnych zeszytach „Pracy” zostaną omówione dalsze, głębsze problemy anglikanizmu.



WIARA NAUKOWCÓW

Bogdan Wszolek z Instytutu Fizyki Akademii imienia Jana Długosza w Częstochowie, odkrywca promieniowania podczerwonego pyłu międzygalaktycznego oraz wybitny animator polskiego miłośniczego ruchu astronomicznego, napisał na zamówienie czasopisma swojego wyznania chrześcijańskiego poniższy tekst, który został odrzucony jako sprzeczny z ortodoksją tegoż wyznania. Nie jest on bynajmniej zgodny z poglądami naszej redakcji. Uważamy natomiast, że reprezentuje on opinię wielu wierzących naukowców, więc go zamieszczamy jako

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY.

Zagadnienie relacji nauki i wiary przewija się przez tysiąclecia w kulturze ludzkiej. Nauka, a w szczególności astronomia, dostarczała w przeszłości podniety dla wielu rozważań filozoficznych i teologicznych. W miarę postępu pozwala coraz lepiej porządkować wierzenia i oczyszczać je z fałszywych mitów. Antropocentrycznie obciążone poglądy i działania są przez naukę poddawane coraz surowszym próbom. Ludzie myślący nie akceptują wiary ślepej, bezrozumnej. Taka wiara hamuje tylko rozwój człowieka i obniża jego indywidualną i społeczną wartość.

Nie bez racji oświeceni przywódcy religijni, jak chociażby Jan Paweł II, nawołują ludzkość do szanowania zdobywczy nauk przyrodniczych, dawania im wiary, korzystania z nich radośnie, tak w procesie dochodzenia prawd o Bogu jak i w sferze poprawy warunków bytowania. W dobie gwałtownego przyspieszenia rozwoju nauk przyrodniczych, w szczególności astronomii i dyscyplin jej pokrewnych, za zmianą obrazu świata, w którym żyjemy, wypada, i to bez zwłoki, rewidować postanowienia dotyczące prawd wiary.

Podczas kosmologicznej konferencji naukowej w Princeton zapytano mnie kiedyś wprost: czy jesteś wierzący? Odrzekłem: oczywiście! Potem usłyszałem: przecież to niemożliwe być jednocześnie uczonym i wierzącym! Stwierdziłem, że ja nie mam problemów z pogodzeniem nauki z wiarą. Przeciwnie, dociekania naukowe wzmacniają i oczyszczają moją wiarę; wiara zaś motywuje mnie do pracy naukowej i wszelkiej innej aktywności. Mówiłem szczerze tak, jak czułem. Uznałem, że rozmówca co innego rozumiał pod pojęciem „wiara”, niż ja. Spotkałem wielu astronomów i astrofizyków, którzy nie taili, że są ateistami. Podobnie, spotkałem wielu głęboko wierzących. Zdarzyło się nawet, że byłem pomocnym w nawróceniu

jednej rosyjskiej astronomki z ateizmu ku chrześcijaństwu. Po latach skłaniam się do poglądu, że wiara w rzeczy nadprzyrodzone nie jest konieczna dla prawidłowej samorealizacji się jednostki, jak też dla jej przydatności społecznej. Dopuszczam jako coś normalnego, że naukowiec, czy kapłan, czy dowolny inny człowiek, są niewierzący. Gdybym sam doszedł kiedyś do sprzeczności między nauką a swoją wiarą, stanąłbym bez wahania po stronie nauki.

Jednakowoż można stwierdzić, że każdy człowiek jest jednak wierzący. Ciągłe doświadczanie wiary w sobie, choć może tego nie zauważać tak, jak często nie zauważa się powietrza. Człowiek wierzy przecież, że rano się obudzi, że się nie otruje śniadaniem, że nie zginie w wypadku po drodze do pracy, że otrzyma wypłatę, że kupując masło nie znajdzie w opakowaniu kawałka drewna i tak dalej. Ta wiara jest mocno osadzona na wcześniejszych doświadczeniach, jest zdrowa i niezbędna do normalnego funkcjonowania. Bez takiej wiary życie stałoby się horrorem, jednym wielkim strachem i paraliżującą działaniem nieufnością.

Ludzie deklarujący się jako niewierzący, zapewne nie mają na myśli tego rodzaju wiary. Chodzą im raczej o wiarę w realność tego, co nie podlega doświadczeniom zmysłów, a całkowicie kłóci się z tak zwanym racjonalnym myśleniem i nie poddaje się naukowym metodom badawczym, czyli metodom opartym na powtarzalnym i niezaprzeczalnym doświadczeniu. Dla tych ludzi to jest rzeczywistością, co się daje naukowo badać. Reszta jest bajką, czasem piękną, lub chorym urojeniem – efektem czyichś zaburzeń psychicznych. Niewierzący są na ogół skłonni akceptować bajki, ale tylko, jako przydatne narzędzia wychowawczego lub psychoterapeutycznego oddziaływania na ludzi, uwrażliwiania ich na wartości etyczne i estetyczne, służące poprawie harmonii życia społecznego. Ateiści nie wierzą w bogów i funkcjonują, można tak rzec, normalnie. Naukowiec niewierzący utrzymuje odpowiednią dyscyplinę i higienę zmysłów by się skupić na konkretnym problemie badawczym. Naukowiec wierzący czyni to samo, ale może przy tym doznawać różnych rozterek natury światopoglądowej, jeśli równoległe do wzrostu naukowego nie nadają z porządkowaniem swoich wierzeń.

Brak możliwości wglądu w korzenie ludzkiej egzystencji i niewiedza na temat jej sensu stawiają człowieka w jakiejś niekomfortowej sytuacji psychicznej, domagającej się ukojenia. Dopóki ukojenie takie nie przychodzi poprzez doświadczenie zmysłowe, rozum podsuwa różnorakie hipotezy. Te hipotezy, które człowiekowi najbardziej odpowiadają, stają się często dogmatami wiary. Bojącym się śmierci dogadza wiara w życie pozagrobowe, a ludziom chorym i opuszczonym - idea miłosiernego Boga. Im więcej lęku w człowieku, tym większe zapotrzebowanie na panaceum w postaci wiary. Dogmatów nigdy nie należy jednak traktować, jako świadectw prawdy. Prawdy nie ustanawia się bowiem poprzez głosowanie. Prawdy docieka się na drodze doświadczalnej, przy czym subiektywne doznania typu snów i innych imaginacji (czy to samoistnych czy stymulowanych) nie przedstawiają tu wartości. Dla ludzi szukających prawdy, w tym uczonych, dogmaty wiary lansowane na potrzeby religii czy innej formy psychologicznego oddziaływania na społeczność ludzką, nie są i nie powinny być żadnym istotnym punktem odniesienia.

W świetle współczesnej wiedzy biologicznej za zdolność wiary odpowiada ustalony fragment ludzkiego mózgu. W zależności od stanu jego sprawności człowiek jest albo wierzącym, albo niewierzącym. Wiara jest wewnętrznym i bardzo subiektywnym przeżyciem. Jest naturalną reakcją organizmu na strach w ogóle, a przed śmiercią w szczególności.

Braki w rozumieniu, czym w istocie są dogmaty wiary, mogą prowadzić do fanatyzmu i oddalać człowieka od prawdy. Błędy w rozumowaniu mogą prowadzić do fałszywej pewności. Fanatykowi dalej do prawdy, również o Bogu, niż ateście. Manipulowanie wiarą może prowadzić do większych spustoszeń w życiu społecznym niż nieodpowiedzialne użycie zdobyczy nauki; w tym fizyki jądrowej i genetyki. Dlatego należy dokładać wszelkich starań, by wiara osobista i instytucjonalna była żywa, to jest ewoluująca w stronę prawdy, a nie ślepa i z prawdy sobie kpiąca.

Dla wielu ludzi argumentem koronnym, co do istnienia Boga, jest świat przyrody. Świat ten wskazuje niezbicie na istnienie Stwórcy. Nauki przyrodnicze odnajdują Stwórcę jako istotę nadzwyczaj inteligentną i o niesamowitej mocy sprawczej. Jednak nie jest wiadomo czy pod pojęciem Stwórcy Wszechświata należy wyobrazić sobie jedną osobę, czy raczej „Wyższą Instancję”, która może być na przykład całą społecznością jakichś nadrzędnych istot. Nawet nie da się wykluczyć i takiego poglądu, że cała przyroda została stworzona przez prawną ludzkość, która miała kiedyś odpowiednią moc sprawczą, a dziś już nie pamięta jak się stwarza gwiazdy, planety, rośliny, zwierzęta i tak dalej, bo dziś już nie ma potrzeby tego robić. Nawet tak przekonujący, zdawać by się mogło, argument za istnieniem Boga, jakim jest Wszechświat, daje się - jak widać - osłabić. Sam Jezus Chrystus, któremu ojcowie kościoła przypisali Synostwo Boże, pomimo swojej wyjątkowej uczoności i sprawności duchowej, niewiele powiedział na temat Boga ponad to, co obejmowały już wcześniejsze wierzenia. Mamy tylko pewność co do tego, że po prawdzie nic nie wiemy (albo z powodu amnezji, albo z lenistwa w dochodzeniu prawdy) na temat Boga i Jego atrybutów. Zanim drogą naukową, czy może jakimś chytrzejszym, nie znanym nam jeszcze innym sposobem, dojdziemy do poznania głębszych prawd o Wszechświecie i jego Stwórcy, można kość serce (bo przecież nie umysł) wiarą w treści lansowane przez takie czy inne mitologie. Nie mamy jednak prawa, w imię najwyższej prawdy, ani narzucać nikomu własnych wierzeń, ani wartościować ludzi w oparciu o ich wierzenia, ani umierać za jakąkolwiek wiarę. Z obserwacji świata wynika jasno, że człowiek nie musi być wierzącym, by być szlachetnym i wartościowym. Skądinąd ludzie wierzący niejednokrotnie zachowują się w najwyższym stopniu nagannie. Człowiek ma prawo do własnej czy zbiorowej wiary, jeśli nie prowadzi ona do naruszania harmonii życia społecznego.

Zdolność do zdrowej wiary, podobnie jak zdolność do wzniosłych przeżyć, nie świadczy źle o człowieku, ale raczej o dobrej jego kondycji psychicznej. Wiara sama w sobie jest wspaniałą sprawnością i nie ma potrzeby się jej wstydzić, o ile nie przybiera ona form patologicznych. Taka wiara zbiorowa, która porządkuje życie społeczne i wprowadza w nie harmonię, jest bardzo pożyteczna i potrzebna.

Uczony wypowiada swoje opinie jak ktoś, kto nieustannie poszukuje, a nie jak ktoś, kto uważa, że posiadał już prawdę ostateczną. Zamiast słowa „wierzę”,

uczony woli użyć „dopuszczam możliwość”. Chętnie zgodzi się z Kopernikiem (*De revolutionibus*), że,.... „*myśli uczonego są niezależne od sądu ogótu – ponieważ dążeniem uczonego, o ile tylko ludzkiemu rozumowi pozwala na to Bóg, jest szukanie we wszystkim prawdy*”. Dla uczonego za błąd metodologiczny uchodzi dosłowna interpretacja tekstów jakichkolwiek pism świętych. Bliższa jest mu postawa Fausta, wyrażona przez Goethego w scenie tłumaczenia Ewangelii Świętego Jana:

Więc: „*Na początku – czytam – było Słowo*”
Tum utknął już! Któż da mi formę nową?
Wszak słowo dla mnie tak wiele nie znaczy!
Muszę to jakoś przełożyć inaczej,
Jeślim od Ducha jest oświecon dziś.
A zatem: „Była na początku Myśl.”
Pilne baczenie daj tym pierwszym zgłoskom,
Aby cię czasem pióro nie poniosło!
Czyż tylko Myśl ten Wszechświat w ruch wprawiła?
Powinno brzmieć: „Moc na początku była.”
Lecz i tu także, choć rzecz zda się prosta,
Coś mnie ostrzega, bym przy tym nie został.
Już wiem! Duch światłem mi pomaga swym,
I piszę już: „Był na początku Czyn.”

(tłumaczenie Feliksa Konopki)

Na zakończenie powyższych rozważań na temat wiary naukowców warto przywołać poglądy Jana Pawła II, z którymi utożsamia się pewnie większość współczesnych uczonych, i to niezależnie od tego czy są wierzącymi czy ateistami:

„*Kościół i wspólnota naukowa będą nieuchronnie oddziaływać między sobą, nie ma tu miejsca na izolację. Chryścijanie będą niechybnie przyswajając sobie aktualne poglądy na świat, a te są dziś kształtowane przez naukę. Jedynym pytaniem jest tylko to, czy będzie się to dokonywało w sposób krytyczny czy też zupełnie bezrefleksyjny; z wycuciem głębi i subtelności, czy z powierzchownością, która poniża Ewangelię i przynosi nam wstyd wobec historii. Naukowcy, jak wszystkie ludzkie istoty, będą podejmować decyzje dotyczące tego, co ostatecznie nadaje sens i wartość ich życiu i ich pracy. Mogą to robić dobrze lub źle, z refleksyjną głębią, jaka może im pomóc osiągnąć mądrość teologiczną, lub z nierozważnym absolutyzowaniem swoich wyników poza rozsądne i właściwe tym wynikom granice. Zarówno Kościół, jak i wspólnota naukowa stoją w obliczu alternatyw, przed którymi nie ma ucieczki. Będziemy dokonywać naszych wyborów znacznie lepiej, jeżeli będziemy żyć we wzajemnej współpracy, do której jesteśmy wezwani, i którą winniśmy realizować coraz pełniej.*” (Z послania Jana Pawła II do Dyrektora Obserwatorium Watykańskiego) *”... Na koniec pragnę zwrócić się także do naukowców, których poszukiwania są dla nas źródłem coraz większej wiedzy o Wszechświecie jako całości, o niewiarygodnym bogactwie jego różnorodnych składników, ożywionych i nieożywionych, oraz o ich złożonych strukturach*

atomowych i molekularnych. Na tej drodze osiągnęli oni – zwłaszcza w obecnym stuleciu – wyniki, które nie przestają zdumiewać. Kieruję słowa podziwu i zachęty do tych śmiałych pionierów nauki, którym ludzkość w tak wielkiej mierze zawdzięcza swój obecny rozwój, ale mam zarazem obowiązek wezwać ich, aby kontynuowali swoje wysiłki, nie tracąc nigdy z oczu horyzontu mądrościowego, w którym do zdobyczy naukowych i technicznych dołączają się także wartości filozoficzne i etyczne, będące charakterystycznym i nieodzownym wyrazem tożsamości osoby ludzkiej. Przedstawiciele nauk przyrodniczych są w pełni świadomi tego, że poszukiwanie prawdy, nawet wówczas, gdy dotyczy ograniczonej rzeczywistości świata czy człowieka, nigdy się nie kończy, zawsze odsyła ku czemuś, co jest ponad bezpośrednim przedmiotem badań, ku pytaniom otwierającym dostęp do tajemnicy.” (Fides et ratio, 106)

Wiarę naukowca powinna cechować wyjątkowa otwartość na prawdę o Wszechświecie i jego Stwórcy, w tym również o samym człowieku. Naukowe dochodzenie prawd to proces długotrwały i złożony, wymagający bardzo ciężkiej pracy i wiary w sens tego, co się robi. Bywa, że tylko bardzo silna wiara w ten sens, pozwala uczonemu, często w działaniu „pod prąd”, odkrywać tajemnice natury. Wspaniałym przykładem uczonego wielkiej wiary był np. Johannes Kepler, który pokazał ludzkości jak skutecznie dochodzić prawd o przyrodzie i jak bez żalu odstępować od błędnych wyobrażeń, nawet, jeśli stoją za nimi uznane autorytety nauki czy religii.

Bogdan Wszółek

**Oczekujemy wypowiedzi dyskusyjnych
redakcja**

KILKA UWAG O WYPOWIEDZI BOGDANA WSZOŁKA

Powyższą wypowiedź wybitnego uczonego, uważam za niezmiernie ważną i cieszę się, że mimo dużej objętości tekstu udało się ją zmieścić, co prawda małymi czcionkami ale za to bez skrótów, w naszym szczupłym zeszycie.

Autor może nieco przecenia znajomość literatury przez czytelników sądząc, że każdy z nas zna dokładnie dramat Goethego „Faust”. Przypomnę więc, że właśnie po zastąpieniu ewangelicznego wyrażenia *Słowo* wyrażeniem *Czyn* przed Faustem pojawia się rozpromieniony Mefistofeles utajony dotąd w pudło-przybłądzie i rozpoczyna z nim rozmowę, w wyniku której Faust zapisuje mu swoją duszę. Odtąd życie Fausta jest pełne uciech, ale zarazem powoduje serię nieszczęść. Jedno z nich jest tematem opery „Faust” Gunoda lepiej znanej niż dramat Goethego. Ich koniec i pewnego rodzaju *happy end* przynosi dopiero epilog drugiego tomu dramatu. Tak, czy inaczej, w pełni się zgadzam z Autorem, że ogromna część współczesnej ludzkości - w tym wielu wierzących naukowców - jest w dobrej wierze poddana pod wpływy Mefistofelesa, pod którym angelologia chrześcijańska rozumie złego ducha strachu i ścisłych praw (logiki, matematyki, przyrody), ograniczającego wolność człowieka do swawolnego podlegania namiętnościom. Nie chcę osądzać, czy słuszne jest tu chyba

dla usprawiedliwienia mefistofelicznych poglądów Fausta, dopisanie zaraz potem kilku zdań z pism Jana Pawła II. Nie będąc rzymskim katolikiem nie mam uprawnień do interpretacji poglądów patriarchy Rzymu.

Autor śmiało określa ludzi wierzących jako tych wszystkich, co wierzą, że dziś się świat nie kończy, że jutro znów wszędzie Słońce. Wielu ludzi tak właśnie wierzy, ale wstydzą się tego powiedzieć. Autor robi tu jednak bardzo istotną uwagę. Jeśli ktoś wierzy w jakikolwiek sens trwania (Wszech)świata, to chociażby podświadomie uznaje inteligentną siłę, która ustaliła prawa logiki, zdecydowała o strukturze czasu, przestrzeni, prawach przyrody i drobniejszych sprawach, aż do poczucia jakiejś moralności włącznie. Taka podstawowa wiara łączy wszystkich wierzących, zaś jest już - według niego - kwestią badań, czy owa inteligentna istota jest jedyna, czy jest ich całe kolegium, a pełna uroku, przedstawiona przykładowo możliwość, że to kiedyś ludzie stanowili to kolegium najwyższej inteligencji, umożliwia uznanie współczesnym naukowcom za współbraci w wierze nie tylko chrześcijańskich „heretyków” ale również najprzeróżniejszych politeistów uznających najosobliwsze mitologie. Autor boi się tylko wszelkiej maści fanatyków. Nigdy się dotąd nie spotkałem z tak odważnie wypowiedzianymi poglądami, które inni wstydliwie ukrywają.

Autor zajmuje się niewiele ludźmi niewierzącymi i - jeśli właściwie pojąłem - rozumie pod nimi niewierzących w istnienie światów wyższych, ale uznających jakieś zasady moralne. Natomiast nie zajmuje się ludźmi, którzy nie widzą żadnego sensu w istnieniu (Wszech)świata. A takimi są żyjący wśród nas (również wśród naukowców) cisi samobójcy i głośni mordercy całych społeczności ludzkich, a również mnożący się obecnie samobójcy-mordercy. Problem współczesnych ludzi nie wierzących w sens bytu wart jest również omówienia. Może to kiedyś zrobi ktoś inny.

Dodatkowy niedosyt widzę w fakcie, że Autor nie zajął się nawet jednym zdaniem ludźmi, którzy mają otwarte zmysły ponadfizyczne na pewne zjawiska zwane popularnie duchowymi, oraz ludźmi, którzy mają powody ufać posiadającym takie zmysły. Zapewniam, że i jedni i drudzy istnieli i istnieją dziś również wśród uznanych naukowców. Niektórzy nawet napisali księgi, książki, rozprawy. Dla takich nie jest obojętne kim był znany Człowiek działający około 2000 lat temu, który coś w świecie zmienił. Dla nich nie jest obojętne jaki jest Jego stosunek do owej Najwyższej Inteligencji, którą uznają wszyscy wierzący.

W artykule Bogdana Wszółka jest powiedziane wiele nieocenionych spraw. Życzyłbym sobie napływu wielu ciekawych artykułów dyskusyjnych. Oby zawierały równie szczerze wypowiedzi, jak szczerze jest napisany sam powyżej zamieszczony artykuł.

brat Paweł

OPOWIEŚCI Z NIEDOPISANYM MORAŁEM

R O W E Ź Y D Z I

Był taki test na antysemityzm. Mówiło się: od jutra wieszamy wszystkich Żydów i cyklistów. Jeśli adwersarz zapytał: dlaczego cyklistów? Odpowiadało się: dlaczego nie pytasz o to pierwsze? W ten sposób większość testowanych (łącznie z niżej podpisanym) okazywała się antysemitami.

Ale obecnie ten test byłby już nieprzydatny. I nie dla tego, że spadł poziom antysemityzmu. Po prostu spora część testowanych o to drugie także by nie zapytała uznając postulat eliminacji rowerzystów za równie oczywisty.

Abstrahując od faktu, że Żyd może być cyklistą a cyklista Żydem, jest wiele cech łączących te dwie grupy. Obie są mniejszościami. Żydzi w społeczeństwie, rowerzyści na drogach. A ponieważ po drogach porusza się prawie całe społeczeństwo, więc na jedno wychodzi.

Obie lubią się ukrywać. Żydzi żyją pod zmienionymi nazwiskami. Rowerzyści jeżdżą w przyciemnianych okularach, czasem kominiarkach i nie rejestrują swoich pojazdów, co utrudnia ich identyfikację.

Żydzi słyną z tego, że sobie pomagają i dlatego są silni. Rowerzyści też sobie pomagają. Może nie tak jak Żydzi, ale w każdym razie nie przeszkadzają sobie wzajemnie tak jak kierowcy - co przy obowiązującej w Polsce kulturze jazdy czyni z nich grupę niezwykle zgodną.

Obie te grupy mają roszczenia i domagają się specjalnych ustaw wyłącznie dla siebie. Żydzi chcą zwrotu nieruchomości, które służą obecnie innym użytkownikom. Rowerzyści chcą ścieżek rowerowych w miejscach gdzie są jezdnie i parkingi służące innymi pojazdom.

Obie te grupy powiązane są z państwami. Żydzi z

Izraelem, rowerzyści z Holandią. Oba te państwa są źródłem zła. Izrael za pomocą Mossadu i diaspory stara się opleść mackami cały świat. Holandia propaguje legalne narkotyki, prostytutkę i homoseksualizm sięjąc zepsucie.

Obie grupy kojarzone są z pewnego rodzaju kultami. Żydzi - ze swoją religią, rowerzyści z ekologią - przybierającą niekiedy parareligijną postać. Oba te kultury mają analogiczne odmiany. Są Żydzi wierzący-praktykujący, wierzący-niepraktykujący (najczęściej z powodów organizacyjnych, czasem personalnych), niewierzący-praktykujący (dla podtrzymania tradycji) oraz niewierzący-niepraktykujący. Są rowerzyści wierzący-praktykujący (ideowo związani z ekologią), wierzący-niepraktykujący (którzy są jak najbardziej proekologiczni, ale jednak częściej jeżdżą samochodem bo to mniej męczące), niewierzący-praktykujący (mają gdzieś ekologię, ale jeżdżą rowerem bo tak jest taniej, zdrowiej i szybciej w godzinach szczytu) i niewierzący-niepraktykujący (zero zrozumienia dla ekologii, zarzewiały rower z młodości od lat stojący w piwnicy). Obie grupy mają swoich ortodoksów (wśród rowerzystów to ci jeżdżący na ostrym kole), którzy na ogół z pogardą patrzą na tych mniej ortodoksyjnych, niegodnych miana prawdziwego Żyda /rowerzysty.

Obie te grupy wzbudzają irytację z powodu swoich zachowań. Jeśli Żyd w sobotę odmawia naciśnięcia przycisku w windzie, to jest to idiotyczne pojmowanie praw religijnych (jeśli Polak bojkotuje film, który prasa katolicka uznała za antychrześcijański to jest to zrozumiałe uszanowanie zdania autorytetów). Jeśli rowerzysta kupi sobie resorowany rower górski i jeździ nim tylko po mieście to jest to idiotyczne szpanowanie niewykorzystanym sprzętem (jeśli kierowca kupi sobie ogromny samochód terenowy i jeździ nim tylko po mieście to jest to zrozumiała chęć zapewnienia sobie komfortu i bezpieczeństwa).

W dyskusjach i rozmowach wszelkie niegodziwości dokonywane na drogach przez rowerzystów są zawsze argumentem przeciwko rowerzystom jako takim, podczas gdy niegodziwości dokonywane przez kierowców nigdy nie są argumentem przeciwko kierowcom jako takim, a jedynie przeciwko tym konkretnym, którzy się tych niegodziwości dopuścili. Podobnie wszelkie niegodziwości dokonane przez Żydów-kamieniczników czy Żydów-ubeków są zawsze argumentem przeciwko Żydom jako takim, podczas gdy niegodziwości

dokonane przez Polaków-kamieniczników czy Polaków-ubeków nigdy nie są argumentem przeciwko Polakom jako takim, a jedynie przeciwko tym konkretnym, którzy się tych niegodziwości dopuścili.

Są szczególne sytuacje, kiedy Żyd i rowerzysta mogą być w porządku. Na przykład Bronisław Wildstein jest OK, bo ma konkretne, prawicowe przekonania, nie ukrywa się, więc na pewno nie jest z tych złych Żydów. Podobnie Katarzyna Cichopek, która czasem jeździ na rowerze, też nie rysuje przecież nikomu lakieru ani nie zmusza do gwałtownego hamowania i ogólnie jest bardzo kulturalna i bardzo ładna. Zresztą nie musi to być osoba powszechnie znana. Wystarczy, że jest to na przykład szwagier. Jeśli siostrze zdarzyło się wyjść za Żyda /rowerzystę, to po wypiciu z nim bruderszaftu najczęściej się okazuje, że ten akurat nie jest z tych co wyzyskują Polaków /urywają lusterka w samochodach i w dodatku szanuje kulturę polską / sygnalizuje manewry na drodze. A jeśli jeszcze zdarzyło mu się ochrzcić /zrobić prawo jazdy kat. B, to już w ogóle nie jest groźny.

Różnica między tymi dwiema grupami jest w zasadzie taka: antysemityzm ma od dawna stałe miejsce w polskiej debacie publicznej. Pisze się o nim - dowodząc że jest, lub że go nie ma, analizuje zachowania pod jego kątem, oskarża o niego - lub przeciwnie chwali za to że "ktoś wreszcie powiedział głośno prawdę". Tymczasem antycyklizm, choć występuje jako zjawisko, nie tylko nie istnieje w powszechnej świadomości, ale nie jest w ogóle brany pod uwagę nawet przez samych rowerzystów, choć doświadczają go na co dzień.

Zatem jako wierzący i praktykujący rowerzysta domagam się ustawowego zwalczania antycyklizmu w życiu publicznym oraz pełnego respektowania wolności wyboru pojazdu.

Dawid Sulej Rudnicki



DWA AFORYZMY

Żadne nasze działanie nie jest syzyfowe. Każde zbliża nas do końca drogi.

Trudno pogodzić się z tragedią życia. Ale jeszcze trudniej pogodzić się z jego bezsenssem.

Honorata Korpikiewicz



bez rymu

*różne metrum od pierwszej sylaby
tu rym żeński, tam męski rym stoi
jeden rytm i oddech złapały -
moje imię spotkało się z twoim*

*między nami średniówką po środku
gdy toczymy spór o Homera
epopeja bogów i przodków
z bezimienną gawędą się ściiera*

*wołam cię fraszką i odą
inwokacją pisaną pieszczotą
moje hymny we włosach niech płoną
gdy odślaniasz pięty herosom*

*apostrofa uczucia i czynu
moje sacrum i twoje profanum
zawsze razem - i cóż że bez rymu
skoro miłość wciąż mamy tę samą...*

Ola Habdank-Wojewódzka



LISTY DO REDAKCJI



O MARIAWICKICH KALENDARZACH

Kilka już razy w odredakcyjnych i autorskich odnośnikach „Pracy nad sobą” (na przykład w zeszycie 66 s.10 i 68 s.5) czytamy narzekania na kalendarze „płockie”, że nie licząc się z oficjalnymi postanowieniami Kościoła Starokatolickiego Mariawitów nie zaznaczają pewnych świąt - na przykład *Ustania Ofiary* lub *Przyjścia Królestwa Bożego*, podczas gdy „za czasów biskupa Jakuba” te święta były w kalendarzach „płockich” umieszczane. Widzę w tym sympatię do niewątpliwie wybitnego hierarchy mariawickiego i ukryty przytyk do współczesnego kierownictwa Kościoła. Ja jednak myślę o tym zupełnie co innego. Nie mam kompletu mariawickich kalendarzy wydawanych w Płocku, ale z pojedynczych zachowanych egzemplarzy widzę jednak, że idzie tu nie o taki czy inny kierunek duchowy, lecz o istotnie odmienną sprawę.

Wiele wyznań religijnych wydaje oficjalne kalendarze liturgiczne pouczające dokładnie swoich duchownych o biegu danego roku kościelnego. Takie kalendarze zawierają wszystkie obowiązujące uroczystości i święta. Ponadto wydawane są popularne kalendarze przez wydawnictwa związane z danym wyznaniem zawierające to, co dla przeciętnego wyznawcy jest ważne, ale nie zawierające szczegółów istotnych tylko dla duchowieństwa. Na przykład kupiony przeze mnie w kiosku kieszonkowy kalendarzyk na rok bieżący jest niewątpliwie kalendarzem rzymskokatolickim. Są w nim podane święta Kościoła Rzymskiego, nie ma natomiast nawet najważniejszych, charakterystycznych uroczystości prawosławnych, ewangelickich i innych. Zawarte w nim informacje o świętach nie są jednak w

żadnym wypadku kompletne i wystarczające dla rzymskokatolickiego duchowieństwa i zarzut w stosunku do takiego kalendarza, że pominął pod jakąś datą obowiązującą pamiątkę byłby śmieszny.

Otóż „w czasach biskupa Jakuba” Kościół Starokatolicki Mariawitów wydawał jeszcze co roku „Liturgiczny Kalendarz Mariawicki”, który nie tylko z nazwy był liturgiczny, w którym były wszystkie ogólnochrześcijańskie i specyficzne, mariawickie święta, a więc jest zaznaczona i pamiątka *Ustania Ofiary* i święto *Stolicy Barankowej* i *Matki Boskiej Dobrej Rady*. Każdy może to sprawdzić. Potem przykościelne wydawnictwo w Płocku zaczęło wydawać zamiast niego „Kalendarz na rok NN Kościoła Starokatolickiego Mariawitów” dający pewne informacje o poszczególnych parafiach (lokalne daty miesięcznych adoracji eucharystycznych), ale za to nie podający wszystkich danych liturgicznych. W niektórych latach (siedemdziesiątych ubiegłego wieku i najnowszych nosi on znów w tytule wyraz „liturgiczny”, co może być mylące, nie jest to jednak ów dawny oficjalny liturgiczny kalendarz. Dla parudziesięciu parafii takie wydawnictwo jest nieopłacalne. Ale kapłani znają przepisy liturgiczne. Przynajmniej nasz kapłan pamięta co roku i o *Ustaniu Ofiary* i o *Matce Boskiej Dobrej Rady*.

Ustalić nowe, lub skasować stare święto jest władny tylko Synod lub - w nagłym przypadku - Kapituła Generalna. Dokonać wyjątkowego przesunięcia daty lub połączenia dwu świąt w danym roku, może Biskup Naczelny, lub lokalnie - ordynariusz diecezji. Natomiast o tym, które święto lub pamiątka zasługuje na zaznaczenie w popularnym kalendarzu ma pełne prawo decydować jego redaktor.

Słyszałem, że kilkanaście lat temu dwu kapłanów usiłowało wydać i rozprowadzić pełny kalendarz liturgiczny, ale nie znaleźli na to funduszków. Szkoda, bo pojawiają się czasem - zwłaszcza wśród młodych kapłanów - wątpliwości, co obowiązuje, a co nie. Ponieważ mówi się o potrzebie wydania nowego mszału Kościoła Starokatolickiego Mariawitów, niewątpliwie przyjdzie dokładnie zbadać wszystkie istniejące przepisy liturgiczne. Przedwojenne archiwum zostało oddane na przemiał przez hitlerowców, ale dawne decyzje obrzędowe znajdują pełne odbicie w pierwszych powojennych kalendarzach liturgicznych. Nowsze liturgiczne decyzje władz Kościoła znajdziemy w archiwum powojennym. Oczywiście Kościół może

każdej chwili oficjalnie wprowadzić jakieś dalsze decyzje. Dlatego zanim zostaną podjęte kroki dla wydania nowego mszału, wszystkie te sprawy powinny być jednoznacznie ustalone.

Było mi smutno, gdy w jednym z naszych kościołów w dniu *Przemienienia Pańskiego* wbrew jednoznacznym przepisom w mszale, śpiewano prefację o Przenajświętszym Sakramencie.

Apeluję więc do Drogich Redaktorów „Pracy nad sobą” zamiast złośliwych przytyków do wydawców „płockich” kalendarzy, weźcie się za rozwinięcie poważnej informacji o mariawickiej liturgice.

miłośnik liturgiki



co nowego w Zgromadzeniu

LISTY OKÓLNE

Po umocnieniu prowincji Zgromadzenia został przyjęty zwyczaj, że list okólny na Wielkanoc będzie rozsyłał minister generalny do wszystkich członków Zgromadzenia, zaś na Boże Narodzenie listy okólne będą rozsyłać ministrowie prowincjalni (prowincjałowie) każdy w obrębie swojej prowincji. Na ubiegłoroczne Boże Narodzenie prowincjałowie Prowincji Zachodniej i Centralnej zdecydowali rozesłać list jednakowej treści, który poniżej w całości przytaczamy, ponieważ może być ciekawy nie tylko dla członków Zgromadzenia.

K.M.G

Albowiem dziecię narodziło się nam, syn jest nam dany i spocznie władza na jego ramieniu, i nazwą go: Cudowny Doradca, Bóg Mocny, Ojciec Odwieczny, Książę Pokoju. Potężna będzie władza i pokój bez końca na tronie Dawida i w jego królestwie, gdyż utrwali ją i oprze na prawie i sprawiedliwości, odtąd aż na wieki. Dokona tego żarliwość Pana Zastępów.

(Izajasz 9:5-6)

Sprawiedliwość - odwieczne marzenie nas wszystkich? Wielu z nas by to zapewne potwierdziło. Z drugiej strony jednak słowo "sprawiedliwość" może wzbudzać mieszane uczucia. Gdy w

rozmowach wspominamy o Bożym miłosierdziu, o Bożej zwariowanej (tak, drogie Siostry i drodzy Bracia, Ojcowie Kościoła używają często w tym kontekście słowa, które można przetłumaczyć jako „zwariowana” lub „szalona!”) miłości do ludzi i całego stworzenia, słyszymy w odpowiedzi: „Ale Bóg jest nie tylko miłosierny, lecz także sprawiedliwy!”. Czyżby sprawiedliwość była zatem przeciwieństwem miłosierdzia? Przyjrzyjmy się przez chwile hebrajskiemu słowu, którego używa prorok. Brzmi ono צדקה (cedakah). Frapujące jest to, że oznacza ono zarówno sprawiedliwość jak i miłosierdzie. W języku hebrajskim tych dwu pojęć nie da się od siebie oddzielić. Sprawiedliwość zawiera w sobie miłosierdzie, a być miłosiernym oznacza być sprawiedliwym. Właściwie nie ma innej drogi czynienia sprawiedliwości aniżeli przez miłosierdzie.

W tym kontekście warto przypomnieć pamiętne słowa z objawień Dzieła Wielkiego Miłosierdzia powierzonych naszej błogosławionej Marii Franciszce, a przez nią, przez świadectwo Jej życia - nam wszystkim: *„Widziałam Sprawiedliwość Boską wymierzoną na ukaranie świata i Miłosierdzie dające ginącemu światu, jako ostatni ratunek Cześć Przenajświętszego Sakramentu i Pomoc Maryi”*. Mateczka widzi Sprawiedliwość i Miłosierdzie, karę i ratunek, jako jedną całość. Ta zdolność całościowego spojrzenia, której nam tak często brakuje, nie wywodzi się z tego, czego Ją nauczono. W ówczesnym Kościele kładziono często zupełnie nieproporcjonalny nacisk na lęk przed karą Bożą. Nierzadko ten lęk stanowił podstawę kościelnej pedagogiki. Jest przejawem szczególnej łaski okazanej Mateczce, że potrafiła ona ujrzeć głęboką tajemniczą jedność sprawiedliwości i miłosierdzia, którą tak dobitnie wyraża słowo cedakah i że nie chciała budować duchowości mariawickiej na strachu przed Bogiem lecz na poczuciu wdzięczności za Jego miłość. Jej słowa przywodzą na myśl wizję mistyki żydowskiej, w której osąd (גבורה, gewurah) i łaska (חסד, chesed) stanowią nierozłączną parę. Nie można mówić o jednej, nie mówiąc o drugiej.

Przed nami Święta Bożego Narodzenia. Za kilka dni zaśpiewamy *„A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami”*. Betlejemskie Dziecię Syn Boży, ukazuje Boże - pełne łaski i miłości - zaangażowanie w nasze sprawy, Bożą gotowość bycia z nami na dobre i na złe, której w niezrównany sposób doświadczamy w Eucharystii, ale również w bliskim nam wszystkim wizerunku Matki Bożej Nieustającej Pomocy. To nie oznacza, że Bóg po prostu akceptuje wszystko co robimy, ale bez wątplenia akceptuje nas -

przyjmuje nas takimi, jakimi jesteśmy, aby nas wewnętrznie przemienić swoją bezwarunkową miłością.

W słynnej operze Wolfganga Amadeusza Mozarta "Czarodziejski Flet" kapłan Sarastro śpiewa przepiękną arię zatytułowaną *In Diesen Heil'gen Hallen*:

*W świątyni świętych progach nieznany zemsty jad,
gdy człowiek zmyli drogę, przez miłość znajdzie ślad.
Przyjazna go kieruje dłoń,
by lepszych światów szukał on.
Tu każdy w murach świętych bliźniemu bratem jest,
tu zdrada się nie pleni, wróg znajdzie łaskę gest,
lecz komu obca mądrość ta,
człowiekiem tego trudno zwać.*

Sarastro nie jest chrześcijaninem, ale jego słowa ukazują najgłębszą treść tego, co chrześcijanie mają do powiedzenia o Bogu, w którego wierzą. Niestety, o wiele lepiej udaje im się wyrażać to słowem niż czynem. Być może właśnie obchody Święta Przyjścia na świat "Cudownego Doradcy, Boga Mocnego, Ojca Odwiecznego, Księcia Pokoju", który ma oprzeć swą władzę na sprawiedliwości i prawie, są dobrą okazją, by krytycznie się przyjrzeć naszej postawie życiowej - jako chrześcijan i mariawitów. Czy "ta mądrość" jest nam bliska czy obca? Czy jesteśmy gotowi podejść z miłością do ludzi, którym zdarza się 'zmylić drogę' i zaofiarować komuś takiemu przyjazną dłoń, „by lepszych światów szukał on”? Od tego zależy bowiem nie tylko to, w jaki sposób przeżyjemy okres świąteczny, lecz również, a właściwie przede wszystkim, czy nasze życie jest i będzie świadectwem Wielkiego Miłosierdzia Bożego objawionego światu za pośrednictwem naszej Założycielki.

Od serca życzę Wam wszystkim, drogie Siostry i drodzy Bracia, błogostawionych Świąt Bożego Narodzenia i obfitości łask w nadchodzącym roku.

(Traktując ten list okólny jako artykuł, pozwoliliśmy sobie, zgodnie z naszym zwyczajem, dopisać oryginalną pisownię wyrazów hebrajskich, czego w tekście rozesłanym jako list okólny nie było.)

=====

FORMALNE POZUZUMIENIE O WSPÓŁPRACY Z KOŚCIOŁEM, STAROKATOLICKIM MARIAWITÓW

Będąc stale członkiem kolegium kapłańskiego Starokatolickiego Kościoła Mariawitów, wprowadzie z powodu wieku zwolnionym już ze wszystkich kościelnych obowiązków, ale służącym jeszcze okazynie jako kapłan jego wyznawcom, spostrzegam wśród niektórych „płockich” mariawitów wątpliwości, czy moja funkcja i w ogóle członkostwo ekumenicznego Zgromadzenia Mariawitów nie stoi w sprzeczności z działalnością Kościoła. Miałem zamiar dokładnie omówić te sprawy w naszym aperiodyku dopiero po podpisaniu szczegółowego porozumienia, które jest obecnie w przygotowaniu. Kilka osób skłoniło mnie do opisanie obecnego stanu sprawy już teraz. .

Ścisłe połączenie Zgromadzenia Mariawitów z Kościołem Mariawitów opierało się z początku w naturalny sposób na fakcie, że wszyscy kapłani formującego się po roku 1906 Kościoła byli członkami Zgromadzenia. Nie było potrzeby jakiegoś formalnego ustalenia stosunków między tymi dwiema organizacjami kierowanymi przez ten sam zespół ludzki.

Sytuacja uległa pewnej zmianie, gdy około roku 1910 Zgromadzenie zaczęło mieć charakter ekumeniczny i zaczęto do niego przyjmować duchownych innych Kościołów. W ciągu wielu dziesięcioleci do Zgromadzenia wstąpili między innymi duchowni i wyznawcy ze Starokatolickich Kościołów Francji, Holandii, Austrii oraz Polskiego Katolickiego Kościoła Narodowego (bracia M. Włodzimierz Kraus i M. Jan Feldman), a nawet pastor Kościoła Ewangelicko-Reformowanego - legendarny, długowieczny brat M. Marek Paschalis. Były to jednak pojedyncze osoby, dla których można było zastosować indywidualne podejścia. Było oczywistością, że w obowiązkach kościelnych podlegali oni wyłącznie swoim biskupom, a tylko osobiste życie religijne kształtowali pod kierunkiem Zgromadzenia.

Problemy nieuregulowanych formalnie stosunków pomiędzy Kościołami, a Zgromadzeniem rozwiązywali zarówno biskupi jak i przełożeni zakonni doraźnie według swojego sumienia. Na ogół nie sprawiało to zamieszania. Pamiętam tylko jeden poważniejszy problem, gdy zaistniały sprzeczne opinie, na jakich zasadach można włączyć brata M. Jana w codzienną mariawicką działalność kościelną po jego przeniesieniu się na stałe ze Stanów Zjednoczonych do Polski.

Ponieważ w połowie XX wieku działalność misyjna istniejących gałęzi Zgromadzenia Mariawitów w świecie zamarła, a i wewnętrzna praca duchowa ulegała osłabieniu, z błogosławieństwem Zwierzchników obu polskich gałęzi Zgromadzenia odbyliśmy w roku 1979 założycielską Kapitułę Generalną nową, od początku zdecydowanie ekumeniczną gałąź Zgromadzenia. Pisałem o tym obszernie w dawnych zeszytach „Pracy” (zeszyt 8 s.12, z. 9 s.18, z.10 s.19. z.11 s.26, z.12 s.31, z.13 s.21). Pisząc teraz o stosunkach naszej gałęzi Zgromadzenia ze Starokatolickim Kościołem Mariawitów przypomnę tylko, że choć urzędujący wówczas biskup naczelny M.Tymoteusz Kowalski - chyba pod wpływem pewnej niechętniej nam grupy kapłanów - zmienił pierwotny, zdecydowanie pozytywny stosunek do nas, to jednak nie cofnął swojej decyzji ani błogosławieństwa i na kolejnych kapitułach Kościoła żądał od Zgromadzenia sprawozdania z działalności i planów na przyszłość. Na jednej z tych kapituł skrytykował projekt wydania przez Zgromadzenie drukiem *Żywota Przejrzystej Pani* autorstwa biskupa M. Jakuba - czemuśmy się natychmiast podporządkowali. Od niego też pochodzi tytuł naszego pisma „Praca nad sobą”.

Współpraca Zgromadzenia z Kościołem opierała się tymczasem na fakcie, że najsilniejsza grupa aktywistów Zgromadzenia - wraz z ministrem generalnym - składa się z duchowieństwa i wyznawców mariawityzmu „płockiego”, którzy nie opuszczą swojego Kościoła w potrzebie, czemu dali już kilkakrotnie praktyczny wyraz. Ale to może się jednak istotnie zmienić, jeśli w przyszłości ministrem generalnym zostanie wybrany członek innego wyznania. Kościół działa powoli mając za sobą i przed sobą tysiąclecia. Dlatego dopiero po piętnastu latach istnienia naszej gałęzi Zgromadzenia, w roku 1995 kościelna Kapituła Generalna zaleciła Radzie Kościoła rozpatrzyć i zająć się formalnym ujęciem spraw Zgromadzenia. Wykonując tę decyzję - również bez pośpiechu - Rada Kościoła zażądała od nas

informacji o tym, czego spodziewalibyśmy się formalnie od Kościoła i co w zamian za to obiecujemy i na swoim posiedzeniu w dniu 28 listopada 2011 roku, na które zaproszono mnie i postawiono pewne pytania, zdecydowano przedstawić nam warunki Kościoła, pod którymi będzie można zawrzeć formalne porozumienie obowiązujące obie bratnie strony.

Spodziewamy się więc już niedługo otrzymać wykaz tych warunków i zawiązać z Kościołem Starokatolickim Mariawitów ściśle określone stosunki oparte nie tylko na decyzjach *ad hoc*. Ułatwi to rozwiązywanie jakichś kontrowersji, gdyby takie w przyszłości powstały, Zakończy też paradoksalną sytuację, że obecnie bardziej jasne układy panują między naszym Zgromadzeniem a kilkoma innymi Kościołami, niż macierzystym Kościołem Starokatolickim Mariawitów, w którym początki Zgromadzenia zostały ongiś uformowane według wskazówek i pod kierownictwem świetlanej pamięci brata kapłana M. Wiesława Urbasa.

brat Paweł

REKOLEKCJE DLA POLSKOJĘZYCZNYCH ANGLIKANÓW

Już po raz drugi zlecono Zgromadzeniu Mariawitów przeprowadzenie zamkniętych rekolekcji dla polskojęzycznych anglikanów. Tym razem były to rekolekcje adwentowe poprowadzone w dniach 14-16 grudnia 2012 roku przez braci M. Izaaka, M. Pawła i M. Serafina w podkrakowskim osiedlu Łazy. Między innymi w wieczór sobotni odprawiono uroczyste nieszpory z namaszczeniem uczestników świętym olejem, zaś przed niedzielą liturgią eucharystyczną odbyło się obszerne nabożeństwo pokutno-sповідnie. Dla chętnych była również spowiedź uszna. W formalnych referatach i wolnych wypowiedziach uczestników omówiono problemy kształtowania indywidualnych sumień oraz współdziałanie liturgiczne z osobistą pracą nad sobą. Wyjaśniano również ogólne problemy doktrynalne i obrzędowe. Biskup Pierre Whalon nie mogąc przybyć osobiście przesłał zgromadzonym błogosławieństwo.

K.M.G

ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

Antoni Siemowit – **Moje przeżycia** – s. 1

Bogdan Wszolek - **Wiera naukowców** - s. 14

brat Paweł - **Kilka uwag o wypowiedzi Bogdana Wszółka** - s. 18

Honorata Korpikiewicz - **Dwa aforyzmy** - s. 23

Ola Habdank-Wojewódzka – **Bez rymu** – s. 23

Z PRZEDSTAWIONYCH NAM PROBLEMÓW:

ST. F. - **Uwielbione ciało zmartwychwstania** - s. 4.

POZNAJMY BRATNIE WYZNANIA:

brat Izaak - **Anglikanizm** - s. 7

OPOWIEŚCI Z NIEDOPISANYM MORALEM:

Dawid Sulej Rudnicki - **Roweżydzi** - s. 20

LISTY DO REDAKCJI:

miłośnik liturgiki - **O mariawickich kalendarzach** - s. 24

CO NOWEGO W ZGROMADZENIU:

K.M.G. – **Listy okólne** - s. 26

brat Paweł - **Formalne porozumienie o współpracy z Kościołem Starokatolickim Mariawitów** - s. 28

K.M.G. - **Rekolekcje dla polskojęzycznych anglikanów** - s. 31

PRACA nad sobą

– aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie. oraz na stronie internetowej www.praca-nad-soba.waw.pl Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: Konrad M. Paweł Rudnicki. Adresy redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 – 31-049 Kraków; redakcja@praca-nad-soba.waw.pl oraz redaktorpracy@interia.pl . Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty – 20 zł. Należność należy przesyłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o nominale nie większym niż 1,55 zł) podając dokładny adres nadawcy, Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 4 kolejne zeszyty pocztą zwykłą wynosi – 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy – 12 euro, poza Europą – 25 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowym przekazem pod adresem redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.
